

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCON

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1864.**

**Tom trzeci.**

POCZET NOWY, TOM. III.

**WARSZAWA.**

W drukarni Gazety Polskiej,  
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

**1864.**





De. II. 1

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po  
wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 15 Maja (27 Czerwca) 1864 r.

Cenzor, Stanisławski.

K. 35/46

# MARYA TUDOR.

---

## KILKA SŁÓW Z POWODU TEATRU WIKTORA HUGO.

Ośmielony przekładami Burgrafów, Hernaniego i Maryi de Lorme, podjąłem stosownie do mojej możności spolszczenie dwóch innych dramatów Wiktora Hugo; mniemam bowiem, że należy raz rozpoczętą robotę ciągnąć dalej. Pojedyncze usiłowania w tym względzie są tylko wyrwykami, nie dającymi dokładnego pojęcia o całości, która przecież przedstawia zupełne wyznanie estetycznej wiary śmiałego nowatora; dlatego należy albo przyswoić wszystkie dramata Wiktora Hugo, albo lepiej było nie tykać żadnego. Teorye jego o sztuce w ogóle, a w szczególności o poezyi scenicznej, wyglądają z pozoru dziwacznie; wolno je przyjąć lub odrzucić, niemniej jednak, są owocem długich badań, głębokiego namysłu, pracowitego gromadzenia zasobów do walki, z której nie w jednym razie wyszło się zwycięzko. Hugo jest energicznym reformatorem. Probując wprowadzić w sztukę całkiem nowe żywioły, nie odepchnął żadnej z form dawnych; tylko każdą nacechował piętnem własnego poczucia. W zbiorze dzieł jego, znajdzie się równie oda jak bajka, rapsodya epiczna jak epigram, elegia jak satyra lub sielanka. Tylko że nikt tam

nie znajdzie chłodnej pompy poematu o Lidze, dychawicznego Delilowskiego polotu, ani nudnych wierszy, nad których tłumaczeniem spracowywali się bezużytecznie współcześni Osńskiego. Pomyślawszy z kolei o teatrze, przyszedł do przekonania, że zwichnięcie zdrowych zasad scenicznych poszło z wolna z naśladownictwa przestarzałych piękności tragedji greckiej; nie cofnął się tedy do tradycyjnych źródeł, ale się oddał szkole dramatu hiszpańskiego, który z dawna już puścił się był własną drogą. Początek drogi tej, jak wiadomo, wykreśla się jasno w misteriach średniowiecznych, w których pod wpływem przedmiotów, stanowczo dawszy odprawę greckiej konieczności, wprowadzono na miejsce tej dramatycznej dźwigni Palec Boży. Nowy ten kierunek miał swoich mistrzów; niemniej jednak dużo tam było nieładu, dowolności i pogardy; a raczej nieznamomości zasad sztuki. Hugo próbował ująć w karby to dzielne życie południowe, rozpasane, przelewające się przez brzegi, rozpychające wszelkie formy. Wszakże, wzorem swoich mistrzów, rozzuchwaliwszy się w pomysłach, nie unikał ostrych rysów, iskrzących się nierzadko jaskrawemi barwy; ztąd ruch postaci które powołał do działania, wydaje się gorączkowym, gdyż śmiały nowator nie ustraszył się niczego, nawet brzydoty, nawet potworności. Owszem, powiedziećby można, że jej szukał wyraźnie, i to zaprawdę nie przez żadną nowatorską tężyźnię, ale dla dowiedzenia: jak dalece wszędzie poezya bywa wielowładną panią.

W tym też względzie, wina jego nie tyle jest wielką, jak to dowieść usiłowano. Nie biorąc już za skalę porównania dzieł Szekspira, ale teatr grecki, przekonać się można dowodnie: że i w starożytności niezbyt przebiegano w pomysłach do dramatu. Jeżeli ma być prawdą, że Wiktor Hugo koniecznie chciał brzydoty w sztuce; tedy nie mniej jest prawdą: że jej starożytni wcale nie unikali. Dość przytoczyć cały cykl Atrydów, Edypa, Fedrę.

Wyberzmy z pomiędzy dramatów Wiktora Hugo te, które wyglądają na osobliwszą apoteozę potworności. Jestto rodzaj trylogii; bo powiedzieliśmy poprzednio: że wszystkie ściśle się wiążą z sobą z rozmaitych względów.



Lukrecya Borgia stanowi szczyt apoteozy. Tę postać szatana, zakamieniałą w zbrodni, przekłętą, czarną od stóp do głowy, poślaca jeszcze promień rajskiej światłości od strony macierzyńskiego uczucia. Dramat rozwija całą patologią udręczeń tej przekłętą duszy, i karze ją własną ręką syna. W Orestei syn podobnie zabija matkę, tylko że z całą świadomością swego czynu; podczas kiedy Gennaro dowiadyuje się prawdy, dopiero po zadaniu ciosu. Pytam się: gdzie większa potworność? Jeżeli według pojęć Eschylesa, pomsta jest czynem dość szlachetnym na usprawiedliwienie zabójstwa nawet matki, to przyznać należy, że poeta nowożytny wznosił się wyżej nierównie. Nie chcę kłaść nacisku na to zbliżenie dwóch pojęć przedzielonych tylu wiekami, i wreszcie stojących na dwóch przeciwnych krańcach wiary. Chrześcianizm uznał zemstę za czyn nierównie wznioślejszy, bo godny tylko ręki Boga samego. Zwracam jedynie uwagę, na to, że brzydota moralna, stanowiąca żywioł zgrozy nawet według pojęć tamtoczesnych, jest istotną podstawą dramatu Eschylesa; podczas kiedy w Lukrecyi występuje tylko jako przyrząd potępińczy.

Toż samo da się powiedzieć na usprawiedliwienie dwóch innych dramatów podobnej dążności.

Triboulet, inny typ szatana, człowiek zarazem plugawy i szkodliwy, nieprzystępny żadnemu uczuciu, nienawistny wszystkiemu co święte i piękne, ma jeszcze jedną stronę ludzką: miłość do córki. A córka ta właśnie jest piękna, bogobojna, niewinna. Staje się tedy, że on sam, w zasłużonej ślepotcie ducha, pomaga do jej shanbienia, i wreszcie własną ręką ją zabija. Zestawiając Tribouleta z Medeą, trafilibyśmy na też same trudności psychiczne co poprzednio.

Marya de Lorme, rozpustnica z kałuży, poniewierająca się z niewiary w uczucie, sprzedająca miłość jako rzecz nic nie kosztującą, jedną razą opatruje się w swoim poniżeniu, dźwiga się ku wysokości, na której króluje tęsknota duszy, usuwa z gorączkową rozpaczą przeszkody po drodze, czepia się lada zbawczój zieleni, już, już niedaleko; za późno! przychodzi kara, ale kara ta jest szczęściem wypełniającém po brzegi czarę życia, tylko że jej nigdy

nie dotkną usta skalane bluźnierstwy przeciw prawdzie. Próznoby szukać odpowiedniej Maryi postaci w starożytności, boć to przecie chrześcijaństwo dopiero uznał w kobiecie anioła. Hugo wybrał anioła upadłego, i nikt mu nie zrobi zarzutu żeby go rozgrzeszył, bo wszak sam Mistrz tylko był mocen to uczynić.

Takie są winy Wiktora Hugo, w użyciu potworności jako żywiołu wrażenia.

Zgodźmy się na jedno. Prawda nie zna konwencyonalizmu. Bywa szczerze naga, wstrętna. — Ależ zadaniem jest sztuki uszlachetniać naturę. — Zgoda na to. Tylko że niepodobna uszlachetnić, jak tylko to co nie jest szlachetne. — Ależ należy robić wybór, wzorem tych którzy pisali prawa sztuki. — Zgoda i na to. Tylko że pisali je Eschyles i Sofokles, nie zaś Laharp lub Dmochowski. I zresztą o dramat tu idzie nie o tragedję. W tym względzie: lady Macbeth, Goneryla, Ryszard, Otello, Szajlok, mogą być dostateczną odpowiedzią. W szkole hiszpańskiej, w której się kształcił Wiktor Hugo, jest więcej jeszcze zuchwalstwa. Dość przytoczyć Cześć krzyża, Lekarza własnej godności, Tkacza z Segowii. Ale Szekspir, Kalderon, Alarkon, mają urok oddalenia, na którym zbywa autorowi Hernaniego. Wiktor Hugo jest zuchwalec nadto świeży.

Mówię rzeczy oklepane, o których rozprawiano już Bóg wie ile razy, i wie też Bóg, że nierównie umiejętniej. Ale idzie mi o własne usprawiedliwienie, prawie tyleż co o obronę zasady.

Jeszcze słówko z powodu Maryi Tudor. Dramat ten należy do szeregu pomysłów scenicznych, w których Wiktor Hugo próbował dawne traiczne postacie królów i królowych sprowadzić do warunków codziennego życia, przedstawić ich ludźmi nie tylko bohaterami, słowem dokazać tego, żeby się ile możności nie kładli nawet spać w koronach na głowie, jak sobie tego nie życzył i Szyller. Otóż i w tym razie następuje się tu układ do Trylogii. Francuszek I bawi się po szatańsku, Marya Tudor szaleje po ziemsku, piękna królowa z Ruy Blasa cierpi po niebiesku. W takich to trzech fazach przedstawiła się pódęcie miłość na wyniosłości tronu. W dalszym ciągu tych studyów, w Hernaninie nakazuje król milczenie sercu, aż wreszcie



w Burgrafach stoi u szczytu swego udoskonalenia, jako przebacząca wielkość.

Oto kilka pobieżnych uwag, mogących jako tako usprawiedliwić powody niniejszej mojej pracy. Kiedyindziej zamierzam rozszerzyć się więcej nieco nad pięknościami dramatów Wiktora Hugo, jak niemniej jaśniej jeszcze wykazać ich ścisły związek duchowy. Tymczasem niech wystarczy co daję. Wybrałem na to jedyne dwa dramata napisane prozą, gdyż przekładać wiersz Wiktora Hugo byłoby nad moje siły. Niech inni dokończą reszty, wykazałem już tego potrzebę. Nie obawiam się z tego zgorszenia smaku. Młode pokolenie, dla którego należy dobierać wzorów, potrzebuje przewodnika ale nie niańki. Zresztą nikt nie napłodził tylu nędznych naśladowców co wielki Szekspir; a tymczasem Wirgiliusz, nawet z odchodów Enniusowych, umiał wydobywać złoto (\*).

Warszawa, d. 9 czerwca 1864 r.

*Felicyan.*



## MARYA TUDOR.

### OSOBY.

MARYA, królowa.  
JOANNA.  
GILBERT.  
FABIANO FABIANI.  
SZYMON RENARD.  
JOZUE FARNABY.  
ŻYD.

LORD CLINTON.  
LORD CHANDOS.  
LORD MONTAGU.  
LORD GARDINER.  
ENEASZ DULVERTON.  
Dozorca więzienny.  
Panowie, Paziowie, Straż, Kat.

*London. — 1553.*



(\*) Podajemy w naszym piśmie najprzód przekład Maryi Tudor, następnie damy Lukrecyą Borgia. Poprzednio drukowaliśmy Hernaniego, Burgraffów, Maryę de Lorme. Zbiór ten dramatów wielkiego poety Francyi, może dać o nim dokładne wyobrażenie naszym czytelnikom.

(Przyp. red. Bibl. Warsz.).



## Dzień pierwszy.

## CZŁOWIEK Z LUDU.

Pusty plac stanowiący wybrzeże Tamizy. Stary powyszczerbiany parapet od strony rzeki. Na prawo, lichy domek, w rogu którego znajduje się pesażek Najświętszej Panny, oświetlony lampką. W głębi, po za Tamizą już, miasto, pośród którego odznaczają się gmachy wieży londyńskiej i Westminsteru.  
Sciennia się.

## SCENA PIERWSZA.

SZYMON RENARD, JAN BRIDGES, baron CHANDOS, ROBERT CLINTON, baron CLINTON, ANTONI BROWN, wice hrabia MONTAGU i wielu innych rozmawiających gromadkami na wybrzeżu.

LORD CHANDOS. Masz słuszość, mylordzie. Ten Włoch przekłety, widocznie opętał królowę. Nie może się już ona obyć bez niego. W nim tylko żyje, nim się rozkoszuje, jego tylko słucha. Niech go na chwilę straci z oczu, zdaje się schnąć z tęsknoty; zupełnie jak było za czasów kiedy się kochała w kardynale Polusie, pamiętacie?

SZYMON RENARD. Sądzę, że trawi ją równie zazdrość, jak miłość.

LORD CHANDOS. Włoch ją opętał—to rzecz niezawodna!

LORD MONTAGU. Powiadają że w jego kraju mają na to sposoby.

LORD CLINTON. W istocie, Hiszpanie umieją przyrządzać jady pozbawiające życia, ale od trucizny włoskiej umiera się z miłości.

LORD CHANDOS. A Fabiani jest razem Hiszpanem i Włochem. To też królowa nasza kocha i zarazem zdaje się być śmiertelnie chora. Widocznie zadał jój obie trucizny.

LORD MONTAGU. Właściwie zaś: co on jest? Włoch—czy Hiszpan?

LORD CHANDOS. Zdaje się rzeczą pewną, że jest rodem z Kapitanatu we Włoszech, ale się chował w Hiszpanii. Podszyna się nawet pod związki rodzinne z jakimś znakomitym domem hiszpańskim. Clinton zna tę rzecz na palcach.

LORD CLINTON. To awanturnik! Ani Włoch, ani Hiszpan. Tém mniej Anglik, Bogu dzięki! Podobni obywatele całego świata nie znają téż litości w kraju, w którym się dorwają władzy.

LORD MONTAGU. (*do Chandosa*) Mówiłeś że królowa jest chora, a przecież wiadomo że się wybornie bawi z swoim kochankiem.

LORD CLINTON. Bawi się! bawi! królowa się śmieje, a lud płacze tymczasem. Jeden tylko ulubieniec ma wszystkiego po uszy! Najada się srebra, a popija złotem ten przybłąda! Królowa dała ziemie Lorda Talbota, wielkiego Talbota—hrabstwo Clanbrassil i baronię Dinasmondy, temu lichemu Włochowi bezczelnie wpierającemu się w pokrewieństwo z hiszpańskimi Penalwerami. Słyszane to rzeczy! Fabiani parem Anglii, jak ty Montagu, jak ty Chandos, jak Stanley, jak Norfolk, jak ja, jak król! Ma też ozdoby Podwiązki jak infant portugalski, jak król duński, jak Tomasz Percy, siódmy hrabia Northumberlandu! I co sobie pozwala ten panujący z łożnicy! Nigdy podobnie twarde jarzmo nie ugniatało Anglii. Mogę to mówić śmiało, bo pamiętam nie dzisiejsze czasy. Co za zgroza! siedmdziesiąt nowych szubienic w samym Tyburnie, stosy dokładane tylko bez ustanku, topór katowski ostrzony co rano, a tępiony co wieczór! Nie ma dnia żeby nie wzięto głowy z jakiego szlachetnego karku. Onegdaj Blantyre, wczoraj Northcurry, dziś South-Reppo, jutro Tyrconnel. Za tydzień, może przyjąć kréska na ciebie, Chandosie; za miesiąc, na mnie! Mylordowie! to wstyd nareszcie i obraza Boża, tyle zacnych głów angielskich, padających na angielską ziemię, dla przyjemności jakiegoś nędznego przybłądy! To nawet zgroza pomyśleć, żeby jeden lichy gach neapolitański tyle zdołał nawyciągać pni katowskich z pod łoża téj tam królowej! Bawią się, powiadasz Montagu? przez Boga, to rzecz więcej niż haniebna! Bawią się, całują, pieścą; podczas kiedy u drzwi ich, oprawca przyposabia wdowy i sieroty! O! gitarze ich włoskiej zanadto już długo wtóruje brzęk łańcuchów! Mościa królowo, sprowadzasz śpiewaków z Awinionu, każesz sobie co dzień przedstawiać komedye, grać muzykantom; możebyś raczyła mniej być wesołą, żebyśmy też mogli być mniej smutni. Na Boga! mniej trochę kuglarzy u ciebie i mniej oprawców u nas! Mniej nieco bud hecarskich w Westminsterze i mniej rusztowań na Tyburnie!

LORD MONTAGU. Prosimy mówić nieco oględniej, mości Clintonie. Myśmy wierni poddani. Gadał sobie co ci się podoba na Włocha, ale wara od królowej.

SZYMON RENARD (*kładąc rękę na ramieniu Clintona*). Cierpliwości!

LORD CLINTON. Cierpliwości! dobrze to mówić wam, mości Renardzie! Wyście starosta Amontu, poddany cesarza i jego poseł w Londynie. Prócz tego przedstawiacie tu księcia hiszpańskiego, przyszłego męża królowej.



Ztąd osoba wasza jest nietykalna. Z nami co innego. Dla was Fabiani może być sobie arkadyjskim pastierzem, ale dla nas to wilk w owczarni.

*(zrobiła się już noc zupełna)*

SZYMON RENARD. Człowiek ten równie zawadza mnie, jak wam. Wam idzie o życie, mnie o powodzenie w zamiarach mego monarchy. Wierzcie mi, trochę to grubsza stawka od waszój. Ja też nie gadam, tylko działam. Mniej się na niego oburzam od was, ale więcej go od was nienawidzę. Z tych tedy powodów zgniotę go koniecznie.

LORD MONTAGU. Ale jaki na to sposób? Ja przemysłam nad tém dniami całemi i nie wymyśleć nie mogę.

SZYMON RENARD. Bo też to nie we dnie biorą sobie kochanków królowe, i nie we dnie się ich pozbywa. Noc jest od tego.

LORD CHANDOS. Ale noc bywa ciemna i okropna!

SZYMON RENARD. Właśnie mi takiej potrzeba.

LORD CHANDOS. Więc cóż zrobić zamierzacie?

SZYMON RENARD. Zaraz zobaczysz mylordzie. Kobieta na tronie, to kaprys panujący. Wtedy trafia rządzi, nie zaś wyrachowanie. Wtedy też nie należy nic obliczać, bo w takich razach *dziś* i *jutro* przestają być krawcami syllogizmu. Nie gra się już wtedy w szachy, ale w karty.

LORD CLINTON. Wszystko to dobrze, ale przejdźmy do rzeczy. Mości starosto, kiedyż się tedy ułatwić myślicie? bo nam pilno. Jutro mają tracić Tyrconnela.

SZYMON RENARD. Jeżeli téj nocy uda mi się znaleźć człowieka jakiego sobie życzę, jutro Tyrconnel będzie z wami jadł wieczerzę.

LORD CLINTON. Jakto? więc cóż się stanie z Fabianim?

SZYMON RENARD. Czy masz dobry wzrok, mylordzie?

LORD CLINTON. Nie zły, choć stary jestem, a noc ciemna.

SZYMON RENARD. Czy możesz dojrzeć Londyn po drugiej stronie wody?

LORD CLINTON. Wybornie; no więc, cóż z tego?

SZYMON RENARD. Otóż, widzisz przed sobą szczyt i ostatnie szczeble drabiny wszelkiego królewskiego ulubieńca, to jest: Westminster i wieżę londyńską.

LORD CLINTON. Więc?

SZYMON RENARD. Więc, jeśli Bóg mi dopomoże, człowiek pewien znajdujący się w téj chwili tam *(ukazuje Westminster)*, jutro o téj samej porze będzie już *(ukazując wieżę)* tu.



LORD CLINTON. W takim razie, Boże ci dopomóż, starosto.

LORD MONTAGU. Lud go równo z nami nienawidzi. Coby to była za radość w Londynie, gdyby się go udało zwalić nareszcie!

LORD CHANDOS. Mości starosto, zdajemy się w zupełności na ciebie; rozporządzaj nami. Cóż robić mamy?

SZYMON RENARD (*ukazując domek nad wodą*). W domu tym mieszka niejaki Gilbert, snycerz. Miejcie oko na to miejsce. Rozejdźcie się jednak, ale tak, żeby ile możności być w pobliżu. Zwłaszcza nie róbcie nic bezemnie.

LORD CHANDOS. Jak najchętniej.

(*rozchodzą się w różne strony*)

SZYMON RENARD (*zostawszy sam*). Człowieka jaki mi jest potrzebny, znaleźć nie łatwo! (*oddala się widząc ludzi nudzących w stronę domku. Jest to Gilbert i Joanna trzymający się pod rękę. Towarzyszy im Jozue Farnaby, zawinięty w płaszcz*).

## SCENA DRUGA.

JOANNA, GILBERT, JOZUE FARNABY.

JOZUE. No, żegnam was, moi drodzy. Noc już, aźci i czas wracać do obowiązków klucznikowi Wieży londyńskiej. Ja bo nie mam nawet tyle wolności co wy,—odzwierny to już prawie więzień—co chcecie! Bądź zdrowa, Joasiu,—do widzenia, Gilbercie. Boże mój! jakże ja się cieszę że was widzę szczęśliwemi. Ale, ale, Gilbercie, a kiedyż ślub?

GILBERT. Za tydzień; prawda Joasiu?

JOZUE. Doprawdy, tożto pojutrze Boże Narodzenie! Ludzie składają sobie życzenia w dzień ten, a czegoż ja wam mam życzyć? Może więcej jeszcze wdzięków narzeczonej, gorętszego przywiązania narzeczonemu? Jedno i drugie byłoby zbyt wiele. Wyście tacy szczęśliwi!

GILBERT. Mój pocciwy Jozue, a ty, czy nie jesteś szczęśliwy?

JOZUE. Ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Widzisz, wyrzekłem się sobie i jednego i drugiego. (*rozchyła płaszcz i pokazuje pęk kluczy u pasa*). Patrzno Gilbercie na te klucze więzienne. Gdyby ci tak jak mnie nieustannie brzęczały u pasa, nawykłbyś wreszcie do ich mowy,

w której jest—wierz mi,—nie mało filozoficznej myśli. W młodości byłem taki jak drudzy. Dzień schodził mi na coraz inną miłostkę, miesiąc na marzeniach o świetnej przyszłości, rok okrążył na szaleństwach wszelkiego rodzaju. Było to za Henryka VIIIgo, najdziwniejszego cudaka swoich czasów. Wyobraźcie sobie, że zmieniał żony jak się zmienia suknie lub bieliznę. Pierwszą wypędził, drugiej kazał uciąć głowę, trzeciej brzuch rozplątać, czwartą przypadkiem darował życie, ale za to piątą znowu kazał iść do rozvodu z głową. Jak cię kocham Joasiu, nie przesadzam ani trochę. W owych czasach wlało mi w głowę bić się za wiarę. Ale biłem się po tej i po tamtej stronie; bo ani podobna było inaczej. Sami osądzicie. Trzeba było koniecznie albo stać po stronie papieża, albo być przeciw niemu. Tedy tak było: że żołnierze królewscy wieszali tych co trzymali z papieżem, ale znowu palili na stosie jego przeciwników. Takich znowu co się trzymali na boku nie mieszając się do niczego, to albo palono albo wieszano na chybił trafił. Każdy radził sobie jak mógł. Powiedziałeś: „tak” stryczek; „nie” stos; ani „tak” ani „nie”—razem stos i stryczek. Ja sam takim jakim mię widzicie, nie raz już diable załatywałem pieczenia, i kto wie czy się z parę razy nie urwałem z postronka. Były to dobre czasy; mniej więcéj takie jak dzisiejsze. Przysięgam na uczciwość, biłem się za to wszystko. Choć dziś, ani już wiem: za co to było i za kogo. Dziś kiedy mi mówią o Lutrze i o papieżu Pawle III, wzruszam ramionami; co mnie po tém wszystkim! Widzisz Gilbertcie, kiedy człowiek posiwieje, powinien się wyrzec wracać, równie do zasad za które się bił mając lat dwadzieścia, jak do kobiet które wtedy kochał. Bo i jedne i drugie, wydadzą mu się równie brzydkie, równie stare, wyschłe, wybladłe, żółtkłe, zgłupiałe. Takie są dzieje mego życia. Teraz trzymam się na boku. Nie jestem już żołnierzem, tylko odźwiernym więzienia. Nie biję się już ani za króla, ani za papieża, tylko zamykam ludzi na klucz. Jestem odźwiernym, i niedaleko mi już do końca życia. Mam jedną nogę w więzieniu, drugą w grobie. Na moje ręce przychodzą skorupy wszystkich ministrów i ulubieńców tłukących się u królowej, i to mnie bawi. Zresztą, mam sobie małe dziecię które kocham, i was także oboje, i byleście wy mi byli szczęśliwi, ja szczęśliwy będę.

GILBERT. W takim razie, koniecznie musisz być szczęśliwy; prawda Joasiu?



JOZUE. Już to ja ci w niczem nie przyczynię szczęścia; Joasia wzięła wszystko na siebie. Nawet nie w mocy mojej oddać ci jakąbądź przysługę. Za chudys pacholek, żebyś mógł kiedy potrzebować łaski odźwiernego Wieży londyńskiej; musisz to zostawić wielkim panom. Tak więc Joasia spłacić ci musi równie za mnie jak za siebie. Bośmy oboje wszystko ci winni. Ją porzuconą sierotę, wyciągnąłeś z niedoli; mnie, kiedyś się pewnego dnia chciał utopić w Tamizie, wyciągnąłeś z wody.

GILBERT. Poco mi to zawsze wymawiasz?

JOZUE. Żebyś zawsze mógł śmiało liczyć na to, że cię oboje kochamy—ja po bratersku, ona zaś sercem—więcej niż siostry.

JOANNA. Sercem kobiety—masz słuszość, Jozue. (*zapada znów w zamyślenie*).

GILBERT (*z cicha do Jozuego*). Patrzno Jozue, prawda jaka ona śliczna—doprawdy, istna królowna! Ani sobie wyobrażasz nawet, jak ją kocham.

JOZUE. Ostrożnie, mój bracie; strzeż się przesady. Kobiety nie kocha się tak szalenie; dziecko—no, to co innego.

GILBERT. Co chcesz przez to rozumieć?

JOZUE. Nic. Za tydzień tedy przyjdę na wasze wesele. Mam nadzieję że wtedy będę wolniejszy, i że już będzie po wszystkim.

GILBERT. Co takiego? po jakim wszystkim?

JOZUE. Zapomniałem zupełnie, że ty się nie mieszasz w te rzeczy. Jesteś zakochany. Należysz do ludu. Co ci potem, że się tam coś knuje w górze, kiedyś ty sobie szczęśliwy na dole. Ale ponieważ mię pytasz, powiem ci: że wciągu tego tygodnia, wciągu może téj doby, Fabiano Fabiani, tylko patrzeć jak kark skręci.

GILBERT. Cóż to za Fabiano Fabiani?

JOZUE. Ależ kochanek królowej—ulubieniec wielce sławny, dziwnie czarujący, prędkiej zmiatający z karku głowę, która mu się nie podobała, niżby burmistrz holenderski zdołał ponieść do ust łyżkę swojej zupki; jednym słowem, osobliwszy ulubieniec kata Wieży londyńskiej, jakiemu podobnego nie było już od lat dziesięciu. Bo wiesz zapewne, że kat dostaje za każdą magnacką głowę dziesięć bitych talarów, a czasem dwa razy tyle, kiedy głowa jest pod każdym względem znakomita. Wielce sobie ludzie życzą zwalić tego Fabiani. Wyznać jednak muszę, że jako dozorca więzienia, słyszę tylko wygadujących na niego ludzi wcale złęgo humoru, to jest takich, którym lada dzień



przyjdzie uciąć głowę, jednym słowem—niezadowolonych ze swego losu.

GILBERT. Niech się tam wilcy jedzą między sobą. Co nas obchodzi może królowa i jej ulubieniec? prawda Joasiu?

JOZUE. O! dziwnie się coś jednak kluje na zgubę tego Włoszka! Nie wiem czy się on z tego wyplącze. Bodaj czy téj nocy jeszcze nie przyjdzie do czego. Widziałem jak się tu skradał mistrz Szymon Renard; juściż to nie nadarmo chyba.

GILBERT. Cóż to za jeden, ten mistrz Szymon Renard?

JOZUE. To i tego nie wiesz? Szymon Renard, to prawa ręka cesarska w Londynie. Królowa ma poślubić księcia hiszpańskiego; otóż on jest jego posłem. Królowa go nie cierpi, ale go się boi okrutnie, i nic mu zrobić nie może. Już ją pozbawił dwóch czy trzech ulubieńców. Wyraźnie zawziął się na ulubieńców królowej. Po prostu, od czasu do czasu, robi porządek w pałacu. Człowiek niestychanie przebiegły, przed którym nic się nie ukryje, i który pod każdym ważniejszym wypadkiem kopie nory piętrowe. Co do lorda Paget, wszak pytałeś mnie i o niego—to jest bystry szlachcic staréj daty, bo jeszcze z czasów Henryka VIIIgo. Jest członkiem Ścieśnionéj Rady. Gospodaruje tam jak się jemu podoba, i nikt mu się nie waży sprzeciwić, wyjąwszy tylko kanclerza, lorda Gardiner, który go serdecznie nienawidzi. Ten znowu Gardiner, to wielki gwałtownik, ale pan całą gębą. Paget zaś, to lichota, syn szewca. Ma wkrótce zostać baronem.

GILBERT. Jak on ci to wszystko wypowiada jak z rękawa!

JOZUE. Bo téż się tyle tego nasłucham zawsze od więźniów (*Szymon Renard ukazuje się w głębi*). Wiesz Gilbercie, kto zna dziś najdokładniej dzieje współczesne? Oto odzwierzy Wieży londyńskie!

SZYMON RENARD (*zawsze w głębi*). Mylisz się, mości panie—kat.

JOZUE (*z cicha do Gilberta i Joanny*). Odejdźmy ztąd. (*Szymon Renard się oddala*) To właśnie mistrz Szymon Renard.

GILBERT. Nie lubię żeby mi się tak uwijano wkoło mego domu.

JOZUE. Czego on tu szuka? No, muszę już wracać do domu, bo kto wie czy mi pan Renard nie przysparza roboty. Bądź zdrów, Gilbercie; bądź zdrowa, piękna Joasiu. Pamiętam cię ot, tak małą.

GILBERT. Bądź zdrów, Jozue. Ale, co to ty tam masz pod płaszczem?

JOZUE. At sobie, niespodziankę.

GILBERT. Jaką niespodziankę?

JOZUE. Bodajże téż ciebie! Czyż zapomniałeś że pojutrze dzień podarków? ale prawda—tyś zakochany! Otóż widzisz, panowie gotują niespodziankę Fabianiemu, a ja mojemu dziecku (*pokazuje lalkę pod płaszczem*). Zobaczmy którą z nich przędzję słucze swoją zabawkę. No, bywajcie zdrowi, moi drodzy.

GILBERT. Do zobaczenia, Jozue. (*bierze rękę Joanny i całuje ją namiętnie*).

JOZUE (*w głębi*). Jak téż to Opatrzność mądrze obmyśla! każdemu daje czém się bawić: lalkę dziecku, dziecko mężczyźnie, mężczyznę kobiecie, a kobietę diabłu. (*wychodzi*).

### SCENA TRZECIA.

GILBERT, JOANNA.

GILBERT. Muszę i ja już odejść. Do widzenia, Joasiu, śpij słodko.

JOANNA. Nie zostaniesz dziś ze mną?

GILBERT. Nie mogę. Muszę wracać do warsztatu; ~~ma~~ tam pilną robotę nad którą strawię noc całą, bo musi być gotowa jutro rano. Rękojęś od sztyletu dla jakiegoś lorda Clanbrassil, któregoś nawet nie widział na oczy.

JOANNA. To dobranoc ci, Gilbercie—do zobaczenia jutro rano, da Pan Bóg doczekać.

GILBERT. Chwilkę tylko jeszcze, Joasiu. Boże! jakże mi trudno odejść od ciebie choćby na parę godzin. Doprawdy, tyś całe moje życie i szczęście. Jednak nic nie pomóż. Idź pracować Gilbercie, boś biedny. Nie wejść przynajmniej do domu, bo bym tam już został, a ja i ztąd odejść nie umiem; co tu robić? Oto siadźmy chwileczkę tu na téj ławce. Łatwiej mi będzie tu cię pożegnać niż tam, a zwłaszcza w twojej izdebce. Daj mi rękę. (*Siada, biorąc obie jej ręce. Ona stoi*). Czy mię kochasz Joasiu?

JOANNA. Oh! wszystko ci zawdzięczam, Gilbercie; wiem to nareszcie, choć się długo z tém kryłeś. Wziąłeś mię maleńką, w kolebce prawie, kiedy mię porzucili rodzice. Lat już szesnaście, pracujesz na mnie jak ojciec, czuwasz nademną jak matka. Cóżby się ze mną stało bez ciebie? Boże mój—wszystko co mam, mam od ciebie; czem jestem—tobiem winna.

GILBERT. Czy mię kochasz, Joasiu?



JOANNA. Czy kto drugi poświęca się tak dla kogo, jak ty dla mnie Gilbertcie? Pracujesz dniem i nocą, wysilasz sobie oczy, wyniszczasz zdrowie, a nigdy, ani się gniewasz, ani choćby narzekasz! Nie dosyć na tém, sobie od ust ujmujesz, byłem ja miała, nawet na zbytki. Doprawdy ile razy myślę o tobie, łzy mi w oczach stają. Jestem pewna, że ci nieraz brakło na chleb powszedni, ale ani razu na wstażki dla mnie.

GILBERT. Czy mię kochasz, Joasiu?

JOANNA. Chciałabym ci ucałować stopy!

GILBERT. Czy mię kochasz? czy mię kochasz? pytam. Oh! wszystko to nie mówi mi że mię kochasz. A jednak, tego tylko jednego słowa mi potrzeba, Joasiu. Wdzięczność! wiecznie wdzięczność! Oh! co mi po niej? Miłości chcę—reszta niczem,—lepij nie żyć. Lat szesnaście byłaś moją córką, wkrótce stać się masz żoną. Wkrótce, za tydzień, wiesz o tém, obiecałaś mi to, przyrzekłaś, i oto jesteś moją narzeczoną. Oh! kochałaś mię przecie przyrzekając mi twoją rękę Joasiu! Był przecież czas, pamiętasz, kiedyś mi mówiła: kocham cię, wznosząc oczy w niebo. Widzisz jabym cię chciał zawsze oglądać taką. A jednak, od niejakiego czasu, zdaje mi się żeś się mocno zmieniła, zwłaszcza od trzech tygodni, kiedy to ciągle mam tak pilną robotę, że czasem nawet nie nocuję w domu. Joasiu! kochaj mię! jam już nawykł do tego. Tak byłaś dawniej wesoła! Dlaczegoś teraz smutna, roztargniona? Ja wiem, robisz co możesz żeby mię nie martwić; ale słowa miłości nie przychodzą ci już same z siebie na usta, jak to dawniej bywało; zdaje mi się, że się już zmuszasz tylko do nich. Co ci takiego? Czy mnie już nie kochasz? Jużciż jestem człek uczciwy, dobry rzemieślnik, jużciż to, jużciż owo; ale doprawdy wolałbym być złodziejem i zbójcą, a być kochanym od ciebie. Joasiu! żebyś ty wiedzieć mogła ile ja cię kocham!

JOANNA. Wiem, wiem drogi Gilbertcie, i dla tego płaczę.

GILBERT. Ze szczęścia? nieprawdaż? O! powiedz mi, że to ze szczęścia. Widzisz, ja koniecznie potrzebuję w to wierzyć. Bo mi się zdaje, że nie ma na świecie jak być kochanym. Jam sobie tylko biedne serce prostaczę; ale w zamian za nie, potrzeba mi serca mojej Joasi. Co mi tam prawisz nieustannie o tém com zrobił dla ciebie? Jedno twoje: kocham cię; a cała wdzięczność po mojej stronie. Popełniłbym zbrodnię, duszębym zaprzedał, gdybyś tylko chciała. Wszak będziesz moją żoną? Wszak mię kochasz Joasiu? Widzisz, za jedno twoje spojrzanie, wyrzekłbym się wszystkiego; za je-





den twój uśmiech, oddałbym życie; za jeden twój pocałunek, duszę!

JOANNA. Jakże szlachetne masz serce, Gilbercie!

GILBERT. Posłuchaj mię Joasiu; śmiej się sobie, jeżeli chcesz; alem ja oszalał doprawdy, jam zazdrośny. Nie chciałbym cię obrazić. Ale od pewnego czasu uważam, że się tu uwija mnóstwo młodych panów. A ja mam lat trzydzieści cztery. Doprawdy, to jest piekło w duszy dla biednego jak ja rzemieślnika, niezgrabnego, lichy odzianego, nie młodego już i wcale nie powabnego, chociaż piękną, siedemnastoletnią dziewczeczkę, do której lgnąć mogą zalotni panowie, jak motyle do światła. Oh! sprawia mi to przykrość nie małą! Nigdy cię w niczem nie podejrzewam, Boże mię broń! gdzie zaś, Ty! taka niewinna, taka czysta! jeżeli czyj pocałunek spoczył kiedy na twojem czole, to mój jedynie. Tylko znajduję niekiedy, że ci za wiele robi przyjemności przyglądać się otoczeniu i orszakowi królowej, a jeszcze więcej, tym błyszczącym, utrefionym młodzikom w atłasach i w aksamitach, pod któremi tak mało serca, tak mało duszy! Przebac mi Joasiu. Mój Boże, po cóż bo kręci się tu tyle tych paniczów! Czemuż i ja nie jestem jak oni młody, piękny, szlachetnie urodzony, bogaty! Gilbert snycerz, ot i wszystko. Oni, to co innego. To ci zaraz lord Chandos, lord Gerard Fitz Gerard, hrabia Arundel, książę Norfolk! Oh, jakże ich nienawidzę! I jeszcze życie trawię na rzeźbieniu dla nich rękojeści do szpad, które z całego serca wepchnąłbym im w gardło.

JOANNA. Gilbercie!...

GILBERT. Przebac mi Joasiu. Nieprawdaż że miłość robi człowieka złym, zawziętym?

JOANNA. O nie, przeciwnie Gilbercie, tyś zawsze dobry, pocziwy, tyś bardzo dobry Gilbercie.

GILBERT. Jakże bo cię kocham! Codzień silniej. Chciałbym móżdżek umrzeć dla ciebie. Kochaj mię, lub nie kochaj; to już zostawiam tobie. Wyrażnie oszalałem. Daruj mi wszystko com tu gadał. Już późno i trzeba raz odejść, bądź zdrowa. Boże! jakże to trudno rozstać się z tobą! No, idź już do domu. Co? nie masz klucza?

JOANNA. Nie wiem, gdzieś mi się zapodział od dni kilku.

GILBERT. Masz mój, bądź zdrowa do jutrzejszego rana. A nie zapominaj o tém Joasiu, zem dziś jeszcze ojciec tobie, ale za tydzień.... *(całuje ją w czoło i odchodzi)*.

JOANNA. *(sama)* Za tydzień.... mąż! Nie, nie popeknę téj zbrodni. Biedny Gilbert! ten kocha mię, podczas kiedy drugi....

Bo może to tylko miłość własna, nie zaś miłość prawdziwa? Nieszczęśliwa moja godzina! w jakieżto ja ręce popadłam; koniec końcem, jestem dziwnie niewdzięczna i występna! Któs nadchodzi, trzeba odejść (*wchodzi do domu*).

## SCENA CZWARTA.

(*Wraca Gilbert; trzyma go za rękę jakiś człowiek w płaszczu i w złotój czapce*).

GILBERT. No, poznaję cię. Tyś żebrak, którego widuję już od dni kilku w okolicy tego domu. Ale czego chcesz odemnie, i pocoś mię tu zawrócić?

NIEZNAJOMY. Bo to co ci mam powiedzieć, na tém tylko miejscu powiedziane być może.

GILBERT. Więc cóż takiego? Mów prędko, bo nie mam czasu.

NIEZNAJOMY. Rzecz jest taka. Lat temu szesnaście, téj saméj nocy, w której lord Talbot hrabia Waterford dał gardło przy pochodniach za podwójną zbrodnię papizmu i rokoszu, stronnicy jego wydani zostali na pastwę rozjuszonego żołdactwa. Całą noc rozlegały się strzały z rusznic po mieście. Otóż nocy téj, pewien młody robotnik, nie dbając na strzały, pracował gorliwie w swoim warsztacie. Było to tuż przy moście. Wchodziło się tam przez niskie drzwi na prawo. Resztki starego czerwonego malowidła znajdowały się na murach. Mogła być druga nad ranem. Walczono w téj stronie. Kule świszcząc przelatywały Tamizę. Jedną razą, zakłatano do drzwi budynku, gdyż w oknie widać było światło. Młodzieniec otworzył. Wtedy wszedł jakiś nieznany mu człowiek. Miał na ręku dziecię w pieluszkach, wystraszone i kwilące. Położył je na stole i rzekł tylko: to jest sierota bez ojca i matki. Poczém oddał się krokiem powolnym. Gilbert, tak się nazywał młodzieniec, sam nie miał ojca ani matki. Tedy, w sieroctwie swoim, biedny wyrobnik, chętnie przygarnął drugą sierotę. Przyjął ją za własne dziecko, zastąpił jój ojca, matkę, wychował ją pieczołowicie, przywiązał się do niéj całą duszą. Wyrzekł się dla niéj wszystkiego: młodości swojéj, miłostek, uciech wszelkich. Ona stała się wyłącznym celem jego prac, zabiegów, wszystkich uczuć jego serca, jój oddał całe swoje życie. Tak trwa już lat szesnaście. Ten Gilbert, to ty; dziecko zaś....

GILBERT. To Joanna; wszystko prawda; ale do czego to prowadzi?

NIEZNAJOMY. Zapomniałem powiedzieć, że do pieluszek przypięta była kartka z napisem: *ulituj się nad Joanną*.

GILBERT. Napisane to było krwią. Kartkę tę zachowałem; noszę ją zawsze na sobie. Ale udręczasz mię tylko, na co to wszystko? mów!

NIEZNAJOMY. Właśnie chcę ci powiedzieć. Widzisz, że wiem wszystko dokładnie. Otóż, posłuchaj mię Gilbercie, strzeż twego domu téj nocy.

GILBERT. Z jakiego powodu?

NIEZNAJOMY. Milcz i posłuchaj, radzę ci. Nie idź do pracy. Pozostań tu gdziekolwiek. Czuwaj. Anim twój przyjaciel, ani nieprzyjaciel, daję ci tylko zdrową radę. A teraz, odejdz, bo nie masz tu już co robić dłużej. Tylko, powtarzam ci, bądź w pobliżu, i gdybym zawołał pomocy, zdążaj natychmiast.

GILBERT. Cóż to wszystko znaczy? (*oddala się krokiem powolnym*).

## SCENA PIĄTA.

NIEZNAJOMY (*sam*).

NIEZNAJOMY. Rzecz ułożona jak należy. Potrzeba mi było kogo młodego i silnego na wszelki wypadek. Ten Gilbert właśnie mi jest na rękę. Ale otóż spodziewany szmer wioseł i śpiew przy gitarze, (*idzie ku poręczy wybrzeża; słysząc w oddali śpiew przy gitarze*).

Gdy śpiewasz w wieczornej dobie,  
Do piersi méj przytulona,  
Czy słyszysz, jak z cicha tobie  
Wtóruję myśl z mego łona?  
Twój słodki śpiew przypomina,  
Dni mych czarowne rozkwicie,—  
Śpiewaj jedyna,  
Przez całe życie!

NIEZNAJOMY. To on!

(*śpiew zbliża się co raz więcej*).

Gdy się uśmiechasz, to wiosna,  
To miłość z ust twych wykwita,  
I wtedy pierzcha zazdrośna  
Myśl w głębi serca ukryta.



Bo śmiać się szczerze i słodko,  
Wszak szczerłość duszy to wróży,—  
Śmieć się pieszczotko,  
Śmieć jak najdłużej!

Kiedy do snu skłonisz głowę,  
W cieniu pod oczu mych strażą,  
Twe senne usta różowe  
Słodkimi wyrazy gwarzą.  
A jam jak w letnie zaranie,  
Słowik tęskniący do róży,—  
O spij kochanie,  
Spij jak najdłużej!

Kiedy wypowiesz to słowo:  
Kocham cię, to mi się zdaje,  
Że mi już niebo nad głową  
Promienne roztwiera kraje.  
W oczach twych blasku tak wiele,  
Że są nad gwiazdy jaskrawsze...—  
Kochaj aniele,  
O! kochaj zawsze!

Bo widzisz, całe tu życie  
W tych czterech słowach się mieści,  
Czego, daj Boże obficie,  
Z czem niema też ni boleści,  
Czego człek nigdy nie prześni,  
Co go wziąć w niebo jest w stanie:  
Uśmiechy, pieśni,  
Sen i kochanie.

NIEZNAJOMY. Wysiada na brzeg. Dobrze. Odprawia wioślarza.  
Wybornie! (*wracając na przód sceny*). Otóż i on sam!  
(*Fabiano Fabiani zawinięty w płaszcz zbliża się ku drzwiom domku*).

## SCENA SZÓSTA.

NIEZNAJOMY, FABIANO FABIANI.

NIEZNAJOMY. (*Zatrzymując go*). Stówko tylko, proszę pana.

FABIANI. Co to jest? Coś ty za jeden?

NIEZNAJOMY. Taki sam jak i drudzy.

FABIANI. Ta lampka świeci nie wiedzieć po jakimu. Nic nie widzę, tylko zdaje mi się że masz na łbie czapkę żółtą jak noszą żydzi. Czyś żyd?

NIEZNAJOMY. Żyd. Mam panu coś powiedzieć.

FABIANI. Jakże się zowiesz?

NIEZNAJOMY. Ja wiem pańskie nazwisko, a pan nie wiesz mojego; i w tém moja przewaga. Dla tego nie powiem Panu jak się zowię.

FABIANI. Ty wiesz moje nazwisko?—nieprawda!

NIEZNAJOMY. Wiem. W Neapolu nazywano pana Signor Fabiani, w Madrycie, Don Faviano, w Londynie zaś nazywasz się pan, Fabiano Fabiani, hrabia Clanbrassil.

FABIANI. Niech cię diabli porwą!

NIEZNAJOMY. Niech Pana Bóg strzeże!

FABIANI. Każę cię wygrzmocić. Nie chcę żeby wiedziano moje nazwisko, kiedy wychodzę w nocy.

NIEZNAJOMY. Zwłaszcza idąc dokąd idziesz.

FABIANI. Cóż to ma znaczyć?

NIEZNAJOMY. Gdyby królowa o tém wiedziała!

FABIANI. Nigdzie nie idę.

NIEZNAJOMY. Idziesz mylordzie. Idziesz do pięknej Joasi, narzeczonej Gilberta snycerza.

FABIANI. (*do siebie*) Bodaj go diabli! To jakiś człowiek niebezpieczny.

NIEZNAJOMY. Czy chcesz pan więcéj usłyszeć? Uwiodłeś tę dziewczynę, i w ciągu miesiąca przyjął cię już dwa razy u siebie w nocy. Dziś to już raz trzeci. Właśnie czeka na ciebie.

FABIANI. Milcz! milcz! Chcesz pieniędzy? ile?

NIEZNAJOMY. Zaraz to zobaczymy. A teraz, czy chcesz mylordzie, żebym ci powiedział z jakich powodów ją uwiodłeś?

FABIANI. Z jakich powodów? bom ją pokochał.

NIEZNAJOMY. Nieprawda! Nie pokochałeś jéj bynajmniej.

FABIANI. Co? Nie pokochałem Joasi?

NIEZNAJOMY. Tak samo jakéś nie pokochał królowej. W jednym i drugim szło tylko o proste wyrachowanie.

FABIANI. Ej, ty oberwańcze! toś ty chyba nie człowiek. Czyś ty własne moje sumienie przebrane po żydowsku?

NIEZNAJOMY. Coś podobnego, mylordzie. Otóż tedy rzecz się tak ma. Jesteś ulubieńcém królowej. Dała ci ona Podwiązkę, hrabstwo, znaczenie. Ale to wszystko blichtr tylko. Podwiązka, to kawałek gałganka. Hrabstwo, czcze słowo; znaczenie, to tylko sposobność oddania głowy pod topór. Tyś chciał czego lepszego. Oto: rozległych ziem, zyskowych starostw, zasobnych zamków, słowem, niezgorszych dochodów w brzęczącym złocie. Król Henryk VIII-my zagarnął był majątność lorda Talbota ściętego szesnaście lat temu. Szło tedy o to, żeby ci

królowa oddała majątności lorda Talbota. Żeby się to jednak na co zdało, potrzeba było koniecznie, żeby Talbot zeszedł bezpotomnie. Bo ponieważ położył głowę w sprawie królowej Maryi i jej matki Katarzyny Aragońskiej, ponieważ był papistą, jak ona; rzecz tedy więcéj jak pewna, że w razie gdyby się zjawił prawy spadkobierca, królowa, częścią z obowiązku, częścią przez wdzięczność, a częścią z pobudek religijnych, odebrałaby ci własność Talbota i oddała komu istotnie należy. Zrazu, byłeś o to dość spokojny. Talbot bowiem, miał tylko jedną córkę, która, niemowlęciem jeszcze, zapodziała się gdzieś była, właśnie w chwili stracenia ojca. Wszyscy sądzili że nie żyje. Tymczasem, niedawno temu, wyszpiegowali twoi zausznicy, że nocy owéj złożono jakieś dziecko u pewnego snycerza mieszkającego obok mostu, i że kto wie czy dziecko to, wychowane pod imieniem Joanny, nie jest czasem Joanną Talbot, jedną córką lorda, znikłą bez śladu. Nie było wprawdzie na to dowodów na piśmie, ale lada chwila znaleźć się mogły. Co tu robić? Widzieć się zmuszonym oddać kiedykolwiek Shrewsbury, Wexford bardzo piękne miasto, a co gorsza wspaniałe hrabstwo Waterford,—nie jest to rzecz przyjemna. Szukając rady na to, znalazłeś sposób pozbycia się niepotrzebnej dziedziczki. Ktoś uczciwy kazałby ją zabić, otruć. Ty mylordzie zrobiłeś lepiej daleko—boś ją shańbił.

FABIANI. Nędzniku jakiś!

NIEZNAJOMY. Wszak sam powiedziałeś: zem tylko własne twoje sumienie, mylordzie. Powtarzam tedy: że ktoś drugi byłby po prostu pozbawił dziewczynę życia, tyś ją pozbawił czci, a zatem przyszłości. Królowa Marya jest zwolenniczką czystości obyczajów... choć sama miewa kochanków.

FABIANI. Ależ—człowiek ten przenika cię do głębi.

NIEZNAJOMY. Królowa jest słabego zdrowia, może umrzeć lada chwila, i wtedy przemożny ulubieniec łatwo zmarnieje na jej grobie. Jednocześnie przypuśćmy, że wypływają na wierzch dowody pochodzenia dziewczyny, i jakbądź shańbiona przez ciebie mylordzie, Joanna uznana wrecie zostaje za dziedziczkę Talbota. Więc i to przewidziałeś. Jesteś młody, piękny, starałeś się jej podobać, uwiodłeś ją—w ostatnim razie możesz się z nią ożenić. Nie wypieraj się mylordzie—plan to genialny! Gdybym nie był mną, chciałbym być tobą.

FABIANI. Zostań lepiej sobą.



NIEZNAJOMY. Prowadziłeś wszystko wielce zgręcznie. Ukryłeś twoje nazwisko. Zabezpieczyłeś się tym sposobem ze strony królowej. Dziewczyna myśli, że jej uwodzicielem jest niejaki Amyas Pawlett, szlachcic z Sommersetu.

FABIANI. Ależ! człowiek ten wie wszystko! No, do rzeczy teraz—czego chcesz odemnie?

NIEZNAJOMY. Posłuchaj mię mylordzie. Gdyby się zdarzył na świecie ktoś, będący w posiadaniu dowodów urodzenia, istnienia, oraz praw, dziedziczki Talbota; figiel ten zrobiłby cię od razu żebrakiem podobnym do Joba mego przodka, bo wszystkie twoje teraźniejsze zamki zmieniłyby się zagną w zamki na lodzie i toby ci nie było z korzyścią.

FABIANI. Takby być mogło w istocie; tylko że nikt nie ma podobnych dowodów.

NIEZNAJOMY. Owszem.

FABIANI. Któż taki?

NIEZNAJOMY. Ja!

FABIANI. Co? ty obdrapańcze? nieprawda. Żyd gadający, to kłamiąca gęba.

NIEZNAJOMY. Ja posiadam te dowody.

FABIANI. Kłamiesz—gdzie je masz?

NIEZNAJOMY. W kieszeni.

FABIANI. Nie wierzę ci. W porządku? nic nie braknie?

NIEZNAJOMY. Nic a nic.

FABIANI. No, to dawaj.

NIEZNAJOMY. O! za pozwoleniem!

FABIANI. Żydzie, dawaj papiery.

NIEZNAJOMY. Wybornie! nie ma co mówić. Żydzie, lichi obdar-tusie z ulicy, daj mi proszę cię, miasto Shrewsbury, daj mi miasto Wexford, hrabstwo Waterford. Wspomóż mię biedaka!

FABIANI. Papiery te koniecznie mi są potrzebne, a tobie na nic się nie zdadzą.

NIEZNAJOMY. Szymon Renard i lord Chandos zapłaciliby mi za nie nie mało.

FABIANI. Szymon Renard i lord Chandos, to dwa podłe psy, pomiędzy którymi każę cię powiesić.

NIEZNAJOMY. No, więc nie będzie nic z tego? W takim razie kłaniam.

FABIANI. Czekaj żydzie. Co chcesz za te papiery?

NIEZNAJOMY. Coś, co pan masz przy sobie.

FABIANI. Worek?

NIEZNAJOMY. Co znowu? mogę panu dać mój.

FABIANI. Więc cóż takiego?

NIEZNAJOMY. Masz pan przy sobie kawałek pargaminu, z którym się nigdy nie rozstajesz. Jest to blankiet z własnoręcznym podpisem królowej. Przysięga w nim ona na świętość swojej katolickiej korony, że udzieli okazicielowi jego: co bądź mu się na nim wpisać podoba. Daj mi pan ten blankiet, a weźmiesz w zamian dowody dotyczące się Joanny Talbot. Jedno za drugie.

FABIANI. Co chcesz zrobić z tym blankietem?

NIEZNAJOMY. No, więc bez ogródek mylordzie. Wypowiedziałem ci twoje zabiegi; posłuchaj teraz moich. Jestem wexlarz z ulicy Kantersteen w Bruxelli. Pożyczam i z tego żyję. Daję dziesięć, a odbieram piętnaście. Pożyczam każdemu, pożyczylbym nawet diabłu. Dwa miesiące temu, umarł jeden z moich dłużników nie uiszcwszy się z długu. Był kiedyś domownikiem w domu Talbota. Zostało po nim tylko trochę łachmanów. Kazałem je zająć. Pośród tych łachmanów było pudełko, w pudełku papiery, papiery dotyczące się Joanny Talbot, mylordzie. Opowiadały one szczegółowo wszystkie jej koleje, z dołączeniem dowodów na sposobną porę. Właśnie w tym czasie królowa angielska nadała ci była majetności Joanny Talbot. Zdarzenie mieć chciało, że jednocześnie ja znowu zapotrzebowałem łaski królowej angielskiej, a to w interesie niejakię pożyczki dziesięciu tysięcy grzywien złota. Tedy pomyślałem sobie: że się ta rzecz da załatwić między nami dwoma mylordzie. W tym celu przybyłem do Anglii. Czas jakiś śledziłem ciebie, śledziłem także Joannę Talbot, i to sam, sam jeden, nie wyręczając się nikim w świecie. Tym sposobem wywiedziałem się wszystkiego, i oto przychodzę z propozycją. Dam papiery Joanny Talbot; ale tylko w zamian za blankiet. Na blankiecie tym napiszę po prostu: że królowa winna mi jest dziesięć tysięcy grzywien złota. Tylko to—nie więcej. Nie żadam tych pieniędzy od ciebie mylordzie, bo takie summy mieszczą się tylko w skarbach państwa—najbogatsza kieszeń prywatna na to za ciasna. Ostatecznie, zdaje mi się, żem się wysłowił jasno. Widzisz mylordzie, takie szczwane lisy jak my dwaj, nie mają się co oszukiwać wzajemnie. Gdyby szczerłość wygnano kiedy ze świata, odszukałby ją można w pogadance dwóch łotrów—zwłaszcza kiedy się odbywa w cztery oczy.

FABIANI. Nie. Nie mogę ci dać blankietu. Dziesięć tysięcy grzywien złota! słyszane rzeczy! Coby powiedziała kró-



lowa! a potem, lada dzień mogę popaść w niełaskę!  
Ten blankiet, to moje bezpieczeństwo— to może nawet  
życie!

NIEZNAJOMY. A mnie co do tego?

FABIANI. Żadaj czego innego.

NIEZNAJOMY. Ja chcę tego tylko.

FABIANI. Żydzie, dawaj papiery Joanny Talbot.

NIEZNAJOMY. Mylordzie, dawaj blankiet królowej.

FABIANI. No, przekłety żydzie, przystaję na wszystko. *(wyciąga papier z kieszeni)*.

NIEZNAJOMY. Ale czy to tylko blankiet?

FABIANI. Ale czy to tylko papiery Talbota?

NIEZNAJOMY. No, potem o tem.

*(zbliżają się do lampki, Fabiani stojąc za żydem trzyma mu lewą ręką przed oczyma papier, który żyd rozpatruje)*

NIEZNAJOMY *(czytając)*. „My, Marya królowa...” Dobrze. Widzisz mylordzie, że ja, jak ty, przewidziałem wszystko...

FABIANI *(prawą ręką wpycha mu sztylet w gardło)*. Wyjawszy tego.

NIEZNAJOMY. O! zdrajca! ratunku! *(padając, rzuca w cień po za siebie papiery opieczętowane, czego Fabiani nie widzi)*.

FABIANI *(schylając się nad ciałem)*. Spodziewam się, że już po nim. Dawaj papiery kochanku. *(szuka mu po kieszeniach)*. Cóż to? nic! nigdzie nic! Skłamał, okradł mnie— zgroza, gwałtu! przekłety żydzisko! *(szuka znowu)* Nic, nigdzie nie ma. Darma go tylko zabiłem. To tak z temi żydami. Żyd, to zawsze kłamstwo i złodziejstwo w jednej osobie.—Trzeba będzie jednak wywlec ztąd trupa, bo nie można go zostawić przed temi drzwiami. W rękę go wrzucę. Ale sam nie dam rady *(idzie włąb)*. Może przewoźnik nie odpłynął jeszcze.

*(W chwili kiedy Fabiano znika po za poręczą, ukazuje się Gilbert z przeciwnéj strony)*.

GILBERT. Słyszałem wyraźnie wołanie o pomoc *(sposstrzegając zwłoki)*. Ktoś zamordowany! To ów żebrak!

NIEZNAJOMY *(unosząc się nieco)*. Ach! przychodzisz za późno dla mnie; ale w sam czas dla siebie! *(ukazując miejsce, gdzie rzucił papiery)* Zabierz papiery, które tam leżą. Znajdziesz w nich dowody: że Joanna, twoja narzeczona, jest córką i jedyną dziedziczką ostatniego lorda Talbota. Moim zabójcą jest lord Clanbrassil, ulubieniec królowej. Ach! tchu mi braknie. Gilbercie! pomścij się za mnie i za siebie! *(kona)*.



GILBERT. Skonał!—Żebyś się pomścił za siebie? Co to wszystko ma znaczyć? Joasia, córka Talbota? lorda Talbota? Lord Clanbrassil, ulubieniec królowej, zabił go! za co? W głowie mi się miesza! (*wstrząsając trupa*) Mów. Powiedz jeszcze co.—Darmo—skonał! (*wracając Fabiani*).

## SCENA SIÓDMA.

GILBERT, FABIANI.

FABIANI. Kto tam?

GILBERT. Zabito tu jakiegoś człowieka.

FABIANI. Nie człowieka, tylko żyda.

GILBERT. Któż go zabił?

FABIANI. Kto? jeden z nas dwóch.

GILBERT. Mości panie!...

FABIANI. Niema świadków. Leży trup. Nad nim stoi dwóch ludzi. Tak dobrze mógł mu się przysłużyć jeden, jak drugi; tak dobrze ja, jak ty, mój panie.

GILBERT. Nędzniku! toś ty go zamordował.

FABIANI. No, więc zresztą, ja; cóż tedy dalej?

GILBERT. Zwołam ludzi, sprowadzę konstablów...

FABIANI. Ale co znowu! pomożesz mi poprostu wrzucić trupa do rzeki.

GILBERT. Każę cię schwycić i będziesz ukarany.

FABIANI. Powiadam ci, pomożesz mi wrzucić trupa do rzeki.

GILBERT. Bezczelnością nic tu nie wskórasz mój panie.

FABIANI. Wierz mi, usłuchaj mię, sam na tém zyskasz.

GILBERT. Ależ to przechodzi wszelkie pojęcie! Jak to?...

FABIANI. Zaraz ci to wyjaśnię. Jeden z nas dwóch sprzątnął nieboszczyka. Ja jestem magnat, lord, pan jednemu słowem. Ty zaś, przechodzień pierwszy lepszy, chłop, człowiek z motłochu. Szlachcic, za zabójstwo żyda płaci cztery soldy kary. Człowiek z ludu, zabijający podobnego sobie, idzie na szubienicę.

GILBERT. Jakto? więc śmiałyś...

FABIANI. Dlaczego nie? Mogę równie zawołać konstablów, jak ty. Zresztą, mnie uwierzą prędzej niż tobie. A w każdym razie, różnica kary między nami nie mała. Ja zapłacę cztery soldy, ty będziesz dyndał.

GILBERT. Boże! to prawda! ani świadków, ani dowodów. Nędznik ma mię w ręku! Oh! w głowie mi się zawraca!

- FABIANI. Czy mam ci dopomódz w robocie? (*bierze trupa za nogi*).  
No! dalej!
- GILBERT. Jesteś szatan wcielony, mój panie, (*chwytając trupa za głowę*). *W ten sposób ciągną go oba ku poręczy*.
- FABIANI. Tak, tak, cóż robić! Doprawdy, nie wiem już wreszcie który z nas dwóch zabił tego żyda. (*schodzą po za poręcz*).
- FABIANI. (*Wraca*) No, to już po wszystkim. Dobranoc ci, kolego; idź sobie teraz w swoją drogę. (*Zbliży się ku domowi i odwraca się, widząc, że Gilbert za nim idzie*). A ty czego chcesz jeszcze? Na piwo może? Właściwie, nic ci się nie należy, ale mniejsza: masz. (*daje swoją sakiewkę Gilbertowi, który ją po niejakiem wahaniu bierze*). Idźże sobie nareszcie; no, czegoż jeszcze czekasz?
- GILBERT. Nie. Tak oto.
- FABIANI. No, to stój sobie za drzwiami, kiedy ci się tak podoba. Bierzmy, każdy co swoje. Dla ciebie piękna noc gwiazdzista; dla mnie gwiazdziste oczy pięknej dziewczyny. Bywaj zdrów. (*Zbliży się do drzwi, i zabiera się je otworzyć*).
- GILBERT. Dokąd to zamierzasz wejść, mój panie?
- FABIANI. Dokąd? do mego domu.
- GILBERT. Jakto? do twego domu?
- FABIANI. No tak.
- GILBERT. Boże mój! Jeden z nas dwóch oszalał chyba! Słuchaj mój panie. Przed chwilą wparłeś we mnie, zem to ja zabił żyda; teraz wmówić usiłujesz, że to jest twoje mieszkanie.
- FABIANI. Czy też mieszkanie mojej kochanki, wyjdzie to na jedno.
- GILBERT. Czy będziesz śmiał raz jeszcze powtórzyć mi to samo?
- FABIANI. Dlaczego nie? Otóż powiadam ci wyraźnie: w domu tym mieszka pewna ładna dziewczyna imieniem Joasia, która jest moją kochanką.
- GILBERT. A ja ci powiadam wyraźnie, mój mylordzie, że szczerzasz jak pies podły, żeś jest ostatni złoczyńca, że matka twoja była publicznie policzkowana i smagana przez oprawcę, i że cię porwę za łeb jak Bóg na niebie, i upikuję ci język własnymi twymi zębami!
- FABIANI. Zwolna, zwolna. Cóż to ty za jeden?
- GILBERT. Jestem Gilbert snycerz. Joanna jest moją narzeczoną.
- FABIANI. A ja jestem kawaler Amyas Pawlett. Joasia jest moją kochanką.
- GILBERT. Kłamiesz bezczelnie! Tyś lord Clanbrassil, gach królowej. Nie oszukasz mię tak łatwo!

- FABIANI. (*Do siebie*). Wszyscy mię znają tój nocy. Jeszcze jeden, którego się trzeba będzie pozbyć!
- GILBERT. Odszczekaj mi natychmiast, to coś śmiać powiedzieć o Joannie.
- FABIANI. Czy znasz jój pismo? (*wyciąga papier z kieszeni*). Czytaj! (*do siebie*) Niech sobie wypadnie do Joasi i narobi gwałtu; to przez ten czas nadejdą moi ludzie.
- GILBERT. (*Czytając*), „Przyjść możesz tój nocy; będę sama.” Przekleństwo! Mylordzie, szanbikes moją, narzeczoną, jesteś niktzemnik! krwawo mi za to odpowiesz.
- FABIANI. (*Z szpadą w rękę*). Jak najchętniej, dobywaj szpady!
- GILBERT. Szpady? O wściekłości! Być z ludu! nie móż mieć przy sobie ani szpady, ani sztyletu! Słuchaj nędzniku, ja się zaczaję na ciebie na rogu ulicy, zapuszczę ci pazury w kark i w szyję, i zdławię cię, jak co najnędzniejszego!
- FABIANI. Ho! ho! jesteś popędliwy, kochanku.
- GILBERT. Oh! mój panie! zemszczę się ja na tobie! poczekaj!
- FABIANI. Ty? zemścić się na mnie? ty? z twego błota? na mnie? który stoję tak wysoko? Drwię sobie z ciebie.
- GILBERT. Drwisz sobie ze mnie?
- FABIANI. Właśnie jak mówisz.
- GILBERT. No więc, zobaczysz.
- FABIANI. (*do siebie*). Tymczasem, ty nie zobaczysz jutrzejszego słońca. (*głośno*) No wreszcie pal cię djabli; zostańże już sobie, kiedy tak chcesz koniecznie. Nawet żal mi, żeś się dowiedział o tём wszystkiém. Bo istotnie nie miałem nawet zamiaru przeszkadzać ci, gdybyś nadszedł. Jeżeli zaś nie masz czem otworzyć, mogę ci dać mój klucz (*rzuca mu klucz pod nogi*). Albo nawet po prostu zapukaj tylko cztery razy w tę okiennicę; Joasia będzie myślała że to ja i otworzy ci. Bywaj zdrów (*wychodzi*).

## SCENA ÓSMA.

GILBERT (*sam*).

- GILBERT. Poszedł. Nie mogłem go nawet zgnieść, zmiażdżyć, skopać nogami! Ani sposobu! Miał broń—ja tylko pięść gołą. (*sposstrzega na ziemi sztylet Fabianiego i podnosi go skwapliwie*). Ach! przychodzisz za późno! Mnie zabić możesz, to prawda; ale wraz ze mną, nie ma już umierać komu! Bądź jak bądź, czyś z nieba, czy z piekła,



chodź. Oh! Joanna mię zdradziła! Joanna oddała się temu nędznikowi! Joanna jest dziedziczką lorda Talbot! Boże wielki! co tu dziwnych rzeczy! co tu ciosów na tę biedną głowę! Skołowacieję chyba! *(w głębi w ciemnościach, ukazuje się Szymon Renard)*. O! zemsty! zemsty nad tym nieczemnikiem! nad tym lordem Clanbrassil!—Jak tu zrobić? Napaść go w pałacu? Lokaje skopią mię nogami i jak psa wyrzucą za drzwi. Oh! oszaleję! głowa mi pęka! Mniejsza umrzeć, byle się pomścić koniecznie! Krew oddam do ostatniej kropli, byle się pomścić! Czyż nie ma nikogo na świecie, kto by mi chciał w tém dopomódz? Dalej! Kto się podejmie pomścić mię na Fabianim, i wziąć w zamian moje życie?...

## SCENA DZIEWIĄTA.

GILBERT, SZYMON RENARD.

SZYMON RENARD. *(występując z ciemności)*. Ja!

GILBERT. Coś ty za jeden?

SZYMON RENARD. Jestem ten, którego sobie życzysz.

GILBERT. A czy wiesz kto ja jestem?

SZYMON RENARD. Jesteś ten, którego mi potrzeba.

GILBERT. Ale czy wiesz, że jedną rzecz tylko mam w głowie: pomścić się na Fabianim i umrzeć.

SZYMON RENARD. Pomścisz się na Fabianim i umrzesz.

GILBERT. Kto bądź jesteś, zgóry ci dziękuję.

SZYMON RENARD. Będziesz pomszczony jak sobie życzysz; ale nie zapominaj warunku. Musisz w to włożyć życie.

GILBERT. Życie?—bierz je.

SZYMON RENARD. Więc przyjmujesz układ?

GILBERT. Przyjmuję.

SZYMON RENARD. Chodź za mną.

GILBERT. Dokąd?

SZYMON RENARD. Dowiesz się później.

GILBERT. Pamiętaj, żeś mi przyrzekł pomstę.

SZYMON RENARD. Pamiętaj, żeś mi przyrzekł umrzeć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

